

Jeśli widz jest kone-
serem — komedia z
czasów stanisławow-
skich może mieć dla niego
urok stylowego bibelotu.
W opolskiej inscenizacji
„Fircyka w zalotach”
wzniecznie upozowane, za-
stygie w bezruchu postaci
Starościca i Podstoliny ko-
jarzą się z figurkami z
sewskiej porcelany. XVIII
wiek na scenie stwarza
możliwości natury estetycz-
nej w wymakowanej o-
prawie plastycznej spek-
taklu, w oszałamiającym
przepychu kostiumów; wy-
stylizowanych na stroje
dandysów i wytwornis z
epoki koronkowych żabo-
tów, krynolin i wymyśl-
nych peruk, wreszcie w
pełnych gracji ruchach i
gestach aktorów. Widz o
wrażliwym słuchu będzie
się rozkoszować barwno-
ścią języka, potoczystą
płynnością wierszowanych
dialogów.

Jednakże te wszystkie
uroki i piękności komedii
Zabłockiego i jej scenicz-
nego kształtu mogą okazać
się niewystarczające, by
dwugodzinny spektakl ab-
sorbował uwagę całej wi-
downi, by ją zaciekał i
bawił. Przy wielkiej bo-
wiem estymie, należynej
wybitnemu przedstawicie-
lowi naszej literatury na-
rodowej z okresu Oświece-
nia — powiedzmy sobie
szczerze — jego ostry on-
giś dowcip stracił satyrycz-
ne żądło, jego odważne na
czasy i stosunki społeczne,
w których żył Zabłocki,
demaskacje obyczajowe
wydają się dziś łagodnym
naigraniem ze stylu ży-
cia i bycia playboyów tam-
tej epoki, a perypetie jed-
nego z nich — łowcy boga-
tych wdów, niewiele nas
obchodzą. Ani nie ma się
czego przejmować, ani z
czego śmiać. Została dosko-
nała forma, zwietrzała za-
warta w niej treść. Toteż
każda tradycyjna insceni-
zacja „Fircyka w zalotach”
niesie z sobą niebezpieczeń-
stwo nudy — nawet przy
bogatej wystawie i dobrym
wykonaniu aktorskim. Jest
to już bowiem, jak wiele
dzieł klasyków, literackie
muzeum.

Cóż więc robi reżyser,
któremu wypadnie realizo-
wać zaplanowaną pozycję
szacownego klasyka? —
Wiedząc, że widz chce ba-
wić się na komedii, a nie
nudzić, szuka pomysłu in-
scenizacyjnego, który po-
zwoliłby mu na zastosowa-
nie rozmaitych sposobów
uatrakcyjnienia spektaklu.
Jesionka wymyślił sobie
„Fircyka” z cyrkowymi in-
termediami, w których ak-
torzy, grający role służ-
ących, pokazują z przymru-
żeniem oka łatwe sztuczki
prestidigitatorskie.

Na cyrkowych interme-
diach nie kończy się po-
mysłowość Jesionki. Innym
z zastosowanych przez nie-
go sposobów bawienia pu-
bliczności jest wprowadze-
nie do scen, w których
występuje para głównych
bohaterów — Staroście i
Podstolina — elementów
parodii. Z parodystycznie
przerysowanymi ruchami,
gestami i mimiką śpiewają
oni niektóre ze swoich dia-
logów na wzór arii opero-
wych. Komiczne efekty
daje, nie licująca z wy-
tworną krynoliną, zama-
szystość ruchów Podstoliny,
jej energiczny, niemal mę-
ski sposób wchodzenia na
scenę, gdy dama owa jest

czymś wzburzona. Przesad-
ność środków służy tea-
tralizacji postaci. Było bo-
wiem założeniem insceni-
zacyjnym, że widz ani na
chwilę nie powinien za-
pomnieć o tym, że jest w
teatrze, który funduje mu
beztroską zabawę. Dlatego
aktorzy „wyglupiają się”,
błaznują, udają cyrkowych
magików, gonią się po sce-
nie, śpiewają sielankowe
wiersze Karpińskiego w
anachronicznych, współ-
czesnych rytmach obu
Ameryk. Dla jeszcze sil-
niejszego podkreślenia, że
chodzi o czystą zabawę
— Jesionka zaczyna drugą
część przedstawienia ory-
ginalnym intermedium z
commedia dell'arte (Carlo
Gozziego), w którym aktor
zbuntowany przeciwko pi-
sanym tekstom wznosi
okrzyk „precz z autorem”,
co brzmi dziś nader aktu-
alnie. Uatrakcyjnianie
klasyków jest dziś w mo-
dzie. Robi to np. konsek-

Inszenizacja „Fircyka”
ma przy wszystkich swoich
niedostatkach walory wi-
zualne. Jest to w pierw-
szym rzędzie zasługa sce-
nografiki, która zaprojek-
towała skromną, ale czystą
w rysunku i kolorystyce
dekorację, ze zgrabną, bar-
dzo funkcjonalną altaną w
kształcie rotundy oraz
śliczne kostiumy, które mu-
siały kosztować wiele trudu
pracownię krawiecką. Ład-
ne rzeczy — jak np. deśczę
z confetti i zwiewnie opa-
dające jesienne liście —
wymyślił Jesionka, który
uzyskał też malownicze
efekty przy pomocy aparatu-
ry świetlnej. Malowanie
obrazów scenicznych świat-
łem jest jego specjalnością.

W obsadzie aktorskiej
zdecydowanie najlepszy
był Krzysztof Zakrzewski,
grający Fircyka lekko,
swobodnie, z niewymuszonym
humorem, odrobiną
nonszalancji i koniecznym
w roli zawodowego poże-
racza serc niewieścich —
wdziękiem. Znacznie lepiej
też niż inni wykonawcy
radził on sobie ze śpiewa-
niem. To chyba najuda-
niejsza z jego dotychczas-
owych ról na opolskiej sce-
nie. Justyna Moszówna
miała wiele dobrych mo-
mentów, ale jej szczerze
starania, by stworzyć po-
stać nieodparcie komiczną,
nie dały zamierzonych re-
zultatów. Jej Podstolina
zachowywała się chwilami
jak subretka, kiedy zaś
zamieniała się w sentymentalną
damę, przeżywającą
rozterki sercowe — przesa-
dzała w ochach i achach.
Ta rola została nadmiernie
przerysowana, zwłaszcza w
scenach parodystycznych.
Mam wrażenie, że Moszów-
nie bardziej leżałaby Pod-
stolina w tradycyjnym
przedstawieniu „Fircyka”.

Każdy z pozostałych wy-
konawców starał się uczci-
wie wywiązać ze swoich
zadań, ale w sumie wyszło
to blade. Nie wiem dlaczego
Włodzimierz Musiał,
który jako cieszący się
względami urodziwej Do-
rotki Świstak powinien być
dziarskim chłopcem, mówi
płaczliwym głosem (co sta-
ło się niedobłą manierą
tego zdolnego przecięz-
aktora) i ma starczą ocięża-
łość w chodzie i ruchach.
Nie rozumiem, dlaczego
Aryst w interpretacji Mie-
czysława Gałęckiego jest
ramolowaty. Nie wydaje
mi się potrzebne zrobienie
z Klarysy — gra ją debiu-
tantka Małgorzata Matu-
szewska — chutliwego babi-
szona, który niemal gwałci
wydzierającego się z objęć
tej pani Pustaka, granego
przyciężko przez Zdzisława
Łęckiego. Fertyczna poko-
jówka jest zgrabnie rusza-
jąca się i niezłe śpiewają-
ca Zofia Świeboda. W epi-
zodach wystąpili: Michał
Domski — Lokaj i Klemens
Myczkowski — Prawnik.

Franciszek Zabłocki:
Fircyk w zalotach”. Re-
żyseria: Wojciech Je-
sionka. Scenografia: Ewa
Nahlík. Muzyka: Jerzy
Grzewiński. Ruch sce-
niczny: Halina Ferenc.
Premiera w Państw-
owym Teatrze Ziemi
Opolskiej.

TEATR

Fircyk z cyrkiem czyli igraszki z klasykami

R. Konieczna

wentnie Adam Hanuszkie-
wicz, z takim powodze-
niem, że widownia Teatru
Narodowego pęka w
szwach na jego przedsta-
wieniach, a bilety na „Bal-
ladynę” z „hondami” są wy-
przedane na pół roku na-
przed. Można by więc
przyklasnąć Jesionce i jego
próbę przystosowania sce-
nicznej formy komedii Za-
błockiego do zabawowych
potrzeb publiczności nasze-
go teatru, gdyby... No wła-
śnie, jest to „gdyby”, które
ostudza entuzjazm recen-
zenta wobec godnych po-
chwwały intencji reżysera,
pragnącego przegnać nudę
z opolskiego przybytku
Melpomeny. Rzecz w tym,
że to, co wykoncypował Je-
sionka, nie sprawdziło się
w realizacji. Cóż po naj-
dowcipniejszych nawet po-
mysłach, gdy zawodzi wy-
konanie? Reżyser miał w
zamyśle przedstawienie
barwne, żywe, pełne ruchu,
z bogatym ładunkiem hu-
moru. Niestety większość
wykonawców nie sprostała
wymaganiom, jakie stawia
tego typu spektakl. Za-
brakło im sprawności ru-
chowej, temperamentu, u-
miejętności wokalnych (do
parodiowania opery także
potrzebne są głosy i umie-
jętność posługiwania się
nim), a przede wszystkim
siły komicznej. To nie ak-
torzy mają się śmiać lecz
publiczność, a na tym
przedstawieniu jest często
odwrotnie.